
W Y D Z I E D Z I C Z O N E

M I R O S Ł A W A
K A R E T A

N I E S P E Ł N I O N A
M I Ł O Ś Ć

© Wydawnictwo WAM, 2022

© Mirosława Kareta-Gala, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce: © KathySG/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób

lub zdarzeń jest przypadkowe lub niezamierzone

ISBN 978-83-277-3209-5

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0

dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

I

grudzień 1915

Dokoła wirują przestworza...

Migotliwy pył przesypuje się przez moje włosy...

Staczam się w głębię, mgławica gwiazd owija mnie jak wstęga najdelikatniejszego muslinu, ale nie jest w stanie powstrzymać upadku.

Wyciągam ręce i zdaje mi się, że dotykam nieba. Pod palcami czuję chłód i nieskazitelną gładkość pereł. Czy to gwiazdy? I skąd one tam, pod spodem?

Przejmuję mnie rozkosz. Lecę i nie wiem już, gdzie dół, a gdzie góra, wiem tylko, że ta przestrzeń nie ma początku ni końca. Nie znam kresu tego szalonego lotu. Nie chcę go znać.

I nagle czuję na czole dotknięcie – zimne jak lód – gorące jak rozżarzony węgiel.

Czuję – zdaje mi się – że to już koniec.

Pocałunek śmierci.

Pocałunek prawdziwej miłości...

Skończyłam czytać i podniosłam wzrok. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Choć nie do końca rozumiałam znaczenie i treść tego tekstu, czułam, że skrywa tajemnicę, której nie powinnam zgłębiać.

Eliza wpatrywała się we mnie z napięciem, jakby czekała na ocenę. A ja wiedziałam, że źle robię. Niepotrzebnie dałam się namówić na grzebanie w tych papierach! Nie powinnam tego czytać, wchodzić w cudze życie w jego najintymniejszym wymiarze! Taka samowola mogła mnie drogo kosztować! Nie chciałam utracić zaufania i przyjaźni osoby, na której coraz bardziej mi zależało...

Zanim jednak zdążyłam się odezwać, okazało się, że ten poetyczny zapis głębokich, być może miłosnych przeżyć, to jeszcze nie wszystko. Eliza, nie doczekawszy się widać spodziewanej reakcji, sięgnęła za siebie i wydobyła kolejny papier. Ten był w dużo gorszym stanie, pomięty i pobrudzony, ze śladami darcia i sklejania. Widniał na nim rysunek – szkic wykonany prawdopodobnie węglem, z wielkim kunsztem i realizmem. Trochę był już rozmazany, ale nadal czytelny. Potwierdzał moje najgorsze obawy.

Można było na nim bowiem rozpoznać ciocię Józję, młodą jeszcze i bardzo piękną, leżącą z rozpuszczonymi włosami i wyciągniętymi nad głową rękami, z których zwisał sznur pereł... Nagą, jak ją Pan Bóg stworzył.



Ciocia Józia była zwykłą wiejską dziewczyną. W pewnym sensie pozostała nią do końca życia, choć jego większość spędziła w mieście. Nikt w rodzinie zwracał się do niej inaczej niż „Józia”, a klienci sklepu, dalsi znajomi i sąsiedzi mówili: „panno Józciu”. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że w latach swojej młodości przez krótki czas i tylko w wąskim kręgu bohemy nosiła jeszcze inne imię.

Mieszkałam u niej od początku wojny i bardzo się zżyłam z nią i jej przybranymi dziećmi. Okoliczności sprawiły, że właściwie

stałam się częścią tej rodziny. Wydawało mi się, że wszystko już o nich wiem, a tymczasem... Wykaligrafowane na bladnoróżowym papierze linijki przepełnionego erotyzmem tekstu oraz podnieszczony szkic aktu, sygnowany przez Witolda Pruszkowskiego, opatrzony datą z kwietnia 1884 roku, świadczyły najdobitniej o tym, że historia Józki ciągle jeszcze nie została do końca opowiedziana. Miałam wtedy szesnaście lat i oczywiście zaczytywałam się w *Trędowatej* oraz innych podobnych książkach, do których pani Lewicka, dyrektorka mojej szkoły, miałyby na pewno wiele zastrzeżeń. Historia Józki jednak biła na głowę wszystkie dostępne powieści, także dlatego, że była prawdziwa, z życia wzięta.

Siedziałyśmy z Elizą na podłodze w sypialni obok starej mnikowskiej skrzyni posagowej, w której nasza opiekunka przechowywała swe skarby. Za oknem prószył pierwszy tej zimy śnieg, krakowskie ulice pokryły się warstewką bieli. Byłyśmy w domu same i miałyśmy sporo wolnego czasu, oddałyśmy się więc ulubionemu ostatnio zajęciu – odkrywaniu tajemnic przeszłości. Ta zupełnie niepasująca do mieszczańskiego domu, malowana na żółto i zdobna w kolorowe kwiaty skrzynia, którą Józka przywiozła z Mnikowa na kilka lat przed ślubem z ojcem Elizy, była ich niewyczerpanym źródłem. Należała jeszcze do Józki babki, starej Lipiny, ale po jej śmierci została opróżniona ze swej zawartości. Józka nie miała więc koralu, gorsetów i barwnych spódnic, które w tamtych latach podbijały serca krakowskich artystów. Miała za to coś u kobiet z ludu nieczęsto wówczas spotykanego – umiejętność pisania i czytania, a także miłość i niezwykle szacunek do słowa drukowanego. Bardzo szybko wypełniła skrzynię zupełnie innymi skarbami: kalendarzami, wycinkami gazet, książkami i zapisanymi ręcznie zeszytami, które od lat gromadziła w swym panińskim kuferku służącej. Dla

nas wertowanie tych papierów stało się sposobem na zabicie czasu w ponurej i głodnej rzeczywistości wielkiej wojny. Przy okazji wyciągałyśmy z Józki opowieści o jej dzieciństwie i młodości, których czasem słuchało się jak najprawdziwszych bajek, a czasem jak... mrocznych historii Edgara Allana Poe.

W ten sposób dowiedziałyśmy się o wielkich dramatach, jakie Józka przeżyła w rodzinnym Mnikowie, oraz o złych przygodach, jakie ją spotkały później, już na służbie w Krakowie. Fałszywie oskarżona o kradzież pereł, nie miała szans na znalezienie pracy w jakimkolwiek „porządnym domu”. Wróciła więc na wieś i na tym jej opowieść ostatnio się urwała. Teraz – po dokonaniu w jej skrzyni sensacyjnego odkrycia – nade wszystko pragnęłyśmy dalszego ciągu!

Co było potem? Jak się potoczyły losy Józki, zanim trafiła do antykwariatu i poznała swego przysłego męża, ojca Elizki? Najgorsze, że żadna z nas nie miała odwagi, by ją o to wprost zapytać. Mogłyśmy się tylko domyślać, że znaleziony szkic był istotnym elementem tej nieznaney nam, utajonej części jej historii.

SPADAJĄCA GWIAZDA

Nie przyznała się w domu, w Mnikowie, do tego, co zaszło. Wręczyła matce zarobione pieniądze i przez kilka dni cieszyła się niezwykle gościnnym przyjęciem, bo nawet Jakub Socha, jej ojczym, starał się być miły. Nikogo nie zainteresowało, czemu chodzi przygnębiona, ma ciągle czerwone oczy i tak ciężko wzdycha. Trudno się zresztą dziwić. Zbliżała się Wielkanoc, na wsi trwały przygotowania do świąt. Trzepano i wietrzono pościel, kilimy oraz wyciągane ze skrzyń najpiękniejsze części garderoby. Szorowano drewniane bale chałup, utykano świeżą gliną i mchem otwory

między „drzywkami”, klejono też pogródkę i klepisko. Z miejscowych roślin – „palmy”, jak nazywano trzcinę rosnącą na bagnach, kłokoczyń, leszczyny, wierzby, jałowca i saktaku – jej przyrodni bracia z innymi chłopakami wiązali na kiju wysokie i grube palmy, służące nie tylko do święcenia w niedzielę, ale także do okładania nimi wiernych po mszy świętej, żeby z nich „stare grzychy wytrześć”. Strugali też z drewna klekoty i karapaty do robienia kocieju muzyki w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek i już się zrywali na „śmiguszny” poniedziałek.

Józia włączyła się we wszystkie domowe prace, ale bez odrobiny radości. Nie wiedziała, jak powiedzieć Sochom o tym, co ją spotkało w Krakowie. Nie potrafiła wyjawić, że odeszła z „łobowiazku” i więcej już nie przyśle im pieniędzy na utrzymanie Walka i Agaty. Do swego niepełnosprawnego wuja i jego niemej opiekunki, nazywanej we wsi „Gorolką”, zaszła na Skałki tylko raz i jak zwykle doznała bardzo serdecznego powitania. Nie mogła jednak znieść świadomości, że przez swoje niepowodzenie postawiła ich los na szali. Byli teraz znowu zdani na łaskę Jakuba. Mógł ich wypędzić w każdej chwili, bo ona zawiodła...

Szamotała się z tymi myślami i w duchu znosiła istne męki. Nie miała nawet odwagi pójść z tym swoim brzemieniem do spowiedzi i cierpła, gdy sobie wyobrażała, że oto przyjdzie Wielkanoc, wszyscy jak jeden mąż ruszą do Stołu Pańskiego, a ona po prostu zostanie w ławce. Odróżniała się od innych już wcześniej, bo była nieślubnym dzieckiem, a poza tym od czasu wyjazdu ubierała się w szarą suknię zamiast barwnego wiejskiego stroju. Teraz jeszcze we własnym mniemaniu została naznaczona piętnem winy i grzechu... Kuzoszki na pewno będą plotkować i snuć przypuszczenia, co się w tym mieście musiało wydarzyć! I pewnie w swych domysłach nie

będą wcale tak dalekie od prawdy. Jeszcze nie daj Boże ktoś ją siłą poprowadzi do spowiedzi, tak jak się czasem zdarzało, gdy wieś chciała zażegnać jakiś konflikt sąsiedzki lub skruszyć zatwardziałego grzesznika. Katusze Józki trwały aż do Wielkiego Czwartku, kiedy to jej tajemnica wreszcie się wydała.

Wszystko wygadała Rogalina, gospodyni handlująca nabiałem na placu Szczepańskim, która najpierw pośredniczyła w znalezieniu Józki pracy, potem od czasu do czasu przekazywała jej wiadomości z domu, a feralnego dnia, gdy wyrzucono dziewczynę ze służby, odwiozła ją furmanką do rodzinnej chałupy. W drodze z Krakowa do Mnikowa Józka wprawdzie nic jej nie powiedziała, ale Rogalina czegoś się domyśliła. Zasięgnęła języka na placu, wypytując inne służące, a wreszcie i samą Muszyniankę, zmuszoną teraz do robienia zakupów i bardzo z tego powodu rozżaloną na swych państwa. Gdy już kumoszka poznała prawdę, nie ze złej woli, ale z sąsiedzkiej życzliwości tak wybrała drogę, by przejechać obok domu Sochów. I oczywiście nie omieszkała zapytać Sosyny, co tam słychać w chałupie i co Józka pocznie ze sobą po świętach. Hanka zrobiła wielkie oczy, więc słowo do słowa Rogalina opowiedziała jej wszystko, czego się dowiedziała. Nie ukrywała, że to fałszywe oskarżenie i że córka została wrobiona w przestępstwo, którego nie popełniła. Złe słowa jednak padły. Hanka z początku nie mogła w to uwierzyć.

– Co wy, kumo, godocie? Jako kradzież? Mojo Józka?

Dziewczyna była wtedy w sadzie. Grabiła liście, a jej bracia z ojczymem przycinali gałęzie drzew owocowych, bo takie właśnie prace na Wielki Czwartek nakazywała tradycja. Nagle wpadła między nich matka ze Stasiem na rękę, wzburzona, z oczami pałającymi gniewem.

– Prowda to?!

– Ale co, matko?

– Prowda to, ze cie z łobowiązku wyrzucili?! Ze jus do miasta nie wrócisz?

– Jo bym i wróciło, jo bym chciło, ino kto mnie teros weźnie?!

– Ha! – zakrzyknęła Hanka. – To trza było wprzódy myśleć! Taki wstyd! Tako sromota!

– Chyba matko nie wierzycie, ze jo coś ukradła! To pani sie bało, ze wyjdzie na jaw...

Józia urwała i rozejrzała się wokół. Ojczym i trzech młodszych braci przysłuchiwali się w napięciu. Z oddali obserwowali tę scenę również zaalarmowani krzykiem sąsiedzi. Jeszcze tego samego dnia – ba! za godzinę! – cała wieś będzie huczeć od plotek! Józia nie powiedziała nic więcej, zaczęła tylko płakać i zaklinać się, że nie zrobiła nic złego. Staś, śliczne dziecko o wyglądzie aniołka, też się skrzywił i dołączył do niej, cienko zawodząc. Jakub, do którego nagle dotarło, co się stało, z piłą w ręku ruszył na pasierbicę, powtarzając tylko:

– Co?! Co?! Co?!

Dobrze, że Sosyna z wyjącem malcem na ręku stała mu na drodze.

Józia już się dalej nie przysłuchiwała awanturze. Podkasła spódnice i odbiegła między pola. Wstrząsał nią szloch. Zdawało jej się, że to już koniec, że stanęła nad przepaścią i tylko krok dzieli ją od śmierci. To oczywiście nie była prawda, ale rozpacz podpowiadała jej najgorsze. Nawet nie wiedziała, kiedy nogi poniosły ją na granicę Cholerzyna, w miejsce, gdzie został pochowany jej rówieśnik i najdroższy przyjaciel Antek.

Syn Agaty „Gorolki” popełnił samobójstwo na krótko przed rozpoczęciem przez Józję służby w mieście. Tak w każdym razie orzekli śledczy, ale mieszkańcy wsi mieli swoje wątpliwości. Choć od urodzenia miał trudne życie, chłopak nie sprawiał wrażenia, by mu ono aż tak zbrzydło. Wręcz przeciwnie, w ciągu ostatnich

miesiący wszystko zaczęło mu się układać. Najął się do pracy przy wykopaliskach w mnikowskich jaskiniach i zyskał zaufanie Godfryda Ossowskiego, naukowca prowadzącego badania na zlecenie Akademii Umiejętności w Krakowie. Owszem, wdał się w jakiś konflikt z innymi pracownikami, których miał nadzorować podczas nieobecności pryncypała, a w ostatnich dniach przed śmiercią był czymś wyraźnie wzburzony i mówił Józii o „mierławych śpasach”, wstrętnych żartach, jakich mają się dopuszczać kopacze, ale nic nie zwiastowało nieszczęścia. Wkrótce zaś potem, gdy pan Ossowski wyjechał, Antka znaleziono powieszoną na drzewie niedaleko stawu pod Pieralną Skalą, niemal w centrum wsi, blisko wejścia do Doliny Mnikowskiej.

Agata „Gorolka” pod wpływem tej tragedii straciła mowę i nikt od tamtej pory nie słyszał, żeby się odezwała choć słowem. Józia przeżyła jego śmierć równie głęboko, choć u niej nie objawiło się to w tak dramatyczny sposób. Długo nie mogła przeboleć swej straty i dopiero w mieście, uczestnicząc co rano w mszy świętej dla służących, czytując książeczkę autorstwa francuskiego księdza, który zalecał służącym dziewczętom doskonalenie cnót i dążenie do świętości, zaczęła odzyskiwać równowagę. Wiele czasu spędziła, modląc się o pokój dla duszy swojego przyjaciela, ofiarowywała też w tej intencji różne przykrości i upokorzenia, jakie ją spotykały. Wierzyła, że to pomaga Antkowi, i że kiedyś spotka się z nim w wieczności. Nic więc dziwnego, że właśnie na jego grób pobiegła wtedy, w Wielki Czwartek, by wypłakać swoje cierpienie.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła na cmentarzu cholerycznym, sama, na kolanach przy niewielkim kopczyku, jaki usypał synowi „Gorolki” specjalnie wynajęty i opłacony grabarz. Pogrzeb odbył się bowiem bez udziału księdza, bez egzekwii i w ziemi niepoświęconej. To tutaj chowano włóczęgów, samobójców i dzieci zmarłe bez chrztu

świętego. Było to smutne, wyklęte miejsce, które chłopci obchodzili zawsze szerokim łukiem. Wieczorami po chałupach krążyły opowieści o duchach i upiorach, które zdarzało się temu i owemu spotkać w jego okolicy. Słuchająca tych gadek Józia cierpła wtedy zawsze ze strachu. Od kiedy pogrzebano tu jej martwo urodzonego braciszka i potem ukochanego przyjaciela, nagle przestała się bać. A teraz czuła się nawet jakoś szczególnie z nimi związana – tak samo odrzucona, skazana na wieczne potępienie, pozbawiona wszelkiej miłości i wsparcia.

Wokół zapadł wczesny przedwiosenny zmierzch, a po jakimś czasie na niebo wytoczył się księżyc, idealnie okrągły, tak jasny, że cała ziemia została zalana jego zimną, niebiesko-białą poświatą. Każdy szczegół, każdy przedmiot i człowiek, były doskonale widoczne. Na obrzeżach nieboskłonu sklepienie było usiane migoczącymi gwiazdami. Miało się wrażenie, że cały wszechświat drży i pulsuje, jakby wypełniało go ukryte życie, jakby tam daleko, w górze, biło mocno czyjeś kochające serce. Poniżej zaś, w sadach i na polach otaczających Mników, Cholerzyn i Morawicę lśniły czerwono-złotym blaskiem ogniska palone przez wiejskich chłopaków. Z daleka dobiegało klekotanie i terkotanie drewnianych kołatek, których dźwięk miał odstraszać zło i chronić mieszkańców przed zakusami diabła.

Zdrętwiała z zimna Józia stopniowo odzyskiwała przytomność. Drgnęła, gdy nagle, całkiem blisko za plecami, usłyszała kroki. Zerwała się z kłęczek i stanęła bez ruchu, zbyt przerażona, by się odezwać lub uciec. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w sylwetkę mężczyzny, w którym dopiero po chwili rozpoznała Witolda Pruszkowskiego. Artysta, który kilka lat wcześniej zamieszkał wraz z rodziną w Mnikowie, od samego początku ją fascynował. Dziewczyna marzyła, by móc kiedyś pozować do któregoś z jego obrazów. Znany był z tego, że lubił malować chłopów i bratać się z nimi, ale

widywano go też często wędrującego samotnie po polach i lasach. Jego widok nie zdziwił jej zatem, ale speszył i przestraszył.

Ubrany był w strój, który nosił od święta: kozacką burkę, białą koszulę spiętą pod szyją wielkim koralem, szarawary i wysokie buty. Ściągnął z głowy futrzaną czapę i trzymając ją po chłopsku, przy piersi, zbliżał się do niej przez kępy zeszłorocznej trawy i suchych badyli. Uśmiechał się pod ciemnym wąsem, wyraźnie zachwycony tym, co ujrzał.

– Eloë. Eloë wśród grobów... – powiedział, a wtedy ona odwróciła się i z głośnym szlochem rzuciła do ucieczki.

– Poczekaj! Poczekaj, panienko! Nic ci nie zrobię... Jestem malarzem!

Zatrzymała się, zdumiona. Czyżby jej nie poznał? Zachowywał się tak, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu! A przecież bywała nieraz u niego w domu, spotykała się z jego żoną, przychodziła też kilka razy z Antkiem do Malarni, jak miejscowi nazywali pracownię Pruszkowskiego.

Teraz dopiero się zorientowała, że rozplółtł się jej warkocz, rozpuszczone jasne włosy spływają kaskadą na jej twarz i ramiona i wygląda teraz zupełnie inaczej niż zwykle. Nie wiedziała wtedy jeszcze, że pod wpływem dramatycznych przeżyć i zgryzot zmieniło się w niej dużo więcej niż tylko uczesanie. Bardzo zeszczupiała, a rysy jej twarzy wyostrzyły się i wyszlachetniały. Nie przypominała już tej rumianej dziewczuszki z okrągłą buzią, jeszcze niemal dziecka, które tak bardzo chciało być na obrazie. Była kobietą, ciężko już doświadczoną przez życie – i bardzo piękną.

– To ja, panie, Józia – odwróciła się do niego, odgarniając kosmyki zasłaniające policzki. – Pamiętacie? Przecie mieliście mnie malować...

Dopiero teraz w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– Józia! Jakżeś ty się zmieniła! – zawołał, podchodząc kilka kroków bliżej. – Jakaś ty teraz... cudna! Jak anioł. Jak zjawisko nie z tej ziemi...

Stali i patrzyli na siebie, a pod wpływem jego spojrzenia dziewczyna zaczęła dygotać.

– Zmarzłaś? Poczekaj! Masz, ogrzej się!

Ściągnął z siebie burkę i narzucił jej na ramiona. Była ciepła od jego ciała, pachniała też tak jak on – mieszaniną jakichś perfum, terpentyny, tytoniu... Zupełnie bezwolna, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, Józia stała jak wrośnięta w ten kawałek nieużytku, na którym mieścił się choleryczny cmentarz. A Pruszkowski patrzył na nią z podziwem, żarłocznie, jakby chciał wypalić tę scenę w swoim mózgu i zapamiętać ją na zawsze. Tak zresztą i mówił:

– Co za scena! Co za barwy! To światło jak z innego świata! I ty w tym wszystkim... eteryczna, złotowłosa... Nie, ty nie jesteś Eloë, ty jesteś Ellenai! Ellenai, jak na obrazie Jacka. Widziałem go zesłego roku w Salonie Krywulca w Warszawie. Chata na Syberii, zmarła Ellenai i Anhelli, nieszczęśny zesłaniec, teraz już całkiem sam...

Józia nie miała pojęcia, kto to taki ta Eloë, Anhelli czy Ellenai. O Malczewskim też wtedy jeszcze nie słyszała, mogła się tylko domyślać, że ów Jacek jest malarzem, jak pan Witold. Znała wprawdzie Aleksandra Krywulca, marszanda, którego spotkała raz w Malarni, nie skojarzyła go jednak w tamtej chwili. To, co mówił artysta, było tak bardzo oderwane od rzeczywistości – od tej ponurej i smutnej rzeczywistości, w której ona żyła – że jego słowa przelatywały obok Józii, nie budząc żadnych uczuć, głębszej myśli czy zainteresowania. Stała tylko z pochyloną głową i dygotała pod jego ciepłą, pachnącą burką, a z oczu jej ciekły łzy. Pan Pruszkowski w końcu to zauważył.

Może zresztą i jemu po prostu zrobiło się zimno, bo była połowa kwietnia, a został w samej koszuli. Nagle zamilkł, pochylił się i spojrzał jej w twarz.

– Co ci to, Józiu? Czemu płaczesz?

Tyle było w jego głosie łagodności, tyle autentycznej troski i zaniepokojenia, że w dziewczynie coś pękło. Szlochając rozpaczliwie, zaczęła opowiadać. I wyznała mu wszystko: o służbie w mieście, wyczerpującej, ale do zniesienia, o krzywdzie i sromocie, jakiej doznała od Lulusia, o natręctwie pana Sobkiewicza, który chciał jej zrobić to samo, i dlatego sytuacja stała się już nie do wytrzymania. O perłach, których nie tknęła, i fałszywym oskarżeniu mecenasowej, o wpisie w księżeczce, który zamykał jej drogę do dalszej służby. O utracie źródeł utrzymania i o tym, że życie straciło sens. Że Walek i Agata pewnie zostaną wyrzuceni z chałupy, a wszystko to przez nią, przez nią...!

Malarz pod wpływem jej wybuchu umilkł na dobre i tylko słuchał, o nic nie pytając i nie przerywając. Gdy Józia ciągle jeszcze wyrzucała z siebie kolejne słowa, oskarżając samą siebie, objął jej ramiona i przytulił serdecznie. Z wrażenia aż przestała płakać. Nagle poczuła się bezpieczna, jak dziecko, które po wielu godzinach przerażenia i udręki znalazło wreszcie poszukiwanego opiekuna. Trwali tak długą chwilę. Dopiero gdy jej oddech się uspokoił i ustały spazmy, Pruszkowski rozluźnił swój uścisk, ale jej nie puścił. Obejmując nadal za ramiona, delikatnie zwrócił ją tyłem do grobów i krzyży, w stronę, gdzie w oddali wznosiła się Pańska Góra, jego dom i Malarnia.

– Chodźmy do pracowni – powiedział.

Ruszyli przez pola ożywione punkcikami ognisk, pod kopułą nieba, na którym pyszniła się wielka kula księżycy i miliardy gwiazd.

I wtedy właśnie, po kilku zaledwie krokach, sklepienie na wprost idących przecięła świetlista wstęga. Nie było to byle mignięcie, marny rozbłysk palącego się meteorytu, którego przypadkowy świadek nawet nie jest do końca pewny. To był piękny łuk, tak jasny, jakby niebo pękło na dwoje, i trwający tak długo, że oboje aż się zatrzymali, wstrząśnięci. Dla artysty był to pewnie dar od losu, wizja wywołująca przypływ malarskiego natchnienia. Dla Józki – znak z nieba, wyraz wielkiej łaski, zwiastun wyzwolenia.

Jej babka, stara Lipina, twierdziła zawsze, że spadająca gwiazda to dusza, która odchodzi z czyśćca do raju.

– W tamtej chwili wiedziałam, nie wiem skąd, ale było to bardzo mocne uczucie, że Antek żegna się ze mną i odchodzi w miejsce, do którego ja jeszcze bardzo długo nie będę mieć wstępu. Jakby mi chciał powiedzieć: do widzenia! – opowiadała mi o tej chwili ciocia Józka, mimo swoich lat płacząc rzewnymi łzami na samo wspomnienie. – Tyle godzin spędziliśmy razem w Dolinie Mnikowskiej na gapieniu się w niebo. Wyglądaliśmy spadających gwiazd, tych uwolnionych dusz, żeby je pożegnać śmiechem i machaniem. A teraz on odchodził, czułam to bardzo wyraźnie.

Tej nocy, gdy Antek odszedł do raju, narodziła się jej miłość do Witolda Pruszkowskiego.



„Pon molorz”, nazywany potem neoromantykiem i prekursorem impresjonizmu w polskiej sztuce, nie zawsze fascynował się poezją Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Norwida. Wręcz przeciwnie, ojciec zaszczerpił mu wielki kult dla sztuki klasycznej i nawet Tadeuszowi Goreckiemu, pierwszemu nauczycielowi

rysunku Witolda, nie udało się tego zmienić, choć był on zięciem Adama Mickiewicza i miał o wieszczu informacje z pierwszej ręki. Dopiero w Akademii monachijskiej koledzy namówili „Kozaka”, jak nazywali swojego kolegę, żeby przynajmniej spróbował poznać to, co dotychczas miał za nic.

W czasopiśmie „Kraj” napisano w 1894 roku:

Pruszkowski z ironją wyrażał się o romantyzmie, miał odwagę przyznawać się, że nietylko nie zna utworów największych jego przedstawicieli, ale nawet nie jest ich ciekawy. Dokuczano mu więc, docinano, nazywano antykiem, wykopaliskiem z czasów przedchrześcijańskich. Ale ta ciągła walka na słowa, dowcipy i ucinki, zrobiła swoje, Pruszkowski postanowił zapoznać się z tymi, których lekceważył, aby lepiej odparowywać cięcia koleżeńskie. Wziął się więc do czytania *Pana Tadeusza*. Zaczął go czytać z uprzedzeniem, czytał dalej ze spokojem, później z przyjemnością, w końcu z zapalem, z uwielbieniem, z zachwytem, ze łzami. Nie jadł, nie spał, nie rozbierał się nawet, a czytał. W jednym dniu porzucił starych bogów, a ukląkł przed nowymi. Przez parę tygodni ode-rwał się od pracy i rozpoczął kwerendę po kolegach za utworami poetów plejady mickiewiczowskiej. Najwięcej rozkochał się w Słowackim, a miłości tej dawał wciąż wyraz w czasie całego swego artystycznego zawodu*.

Tej nocy, gdy Józia po raz pierwszy usłyszała o Eloie, aniele zrodzonym ze „łzy Chrystusowej na Golgocie”, a nawet została do niej

* Pochodzenie wszystkich cytatów zob. Bibliografia, s. 365. Pisownia oryginalna.

porównana, jeszcze nie wiedziała, że Pruszkowski kilka lat wcześniej namalował *Śmierć Anhellego*, jeden ze swoich najsłynniejszych obrazów. Krytycy szeroko o tym pisali, głównie dlatego, że jako pierwszy miał odwagę przenieść na płótno scenę z poematu Słowackiego. Nie odmawiano mu jednak przy tym geniuszu. Franciszek Ksawery Martynowski, ten sam, który w warszawskich „Kłosach” tak zmieszał z błotem jego *Piasta*, o drugim obrazie Pruszkowskiego pisał już w zupełnie innym tonie:

Żeby zabrać się do tak wysoce fantastycznej kreacji, jak Słowackiego *Anheli*, trzeba się poczuć w wielkim zasobie twórczości i uczucia piękna. Jedna linia, jeden ton fałszywy, czyni z pięknego dzieła karykaturę, z podniosłej postaci – śmieszłą. Na chlubę artysty przyznać musimy, że po mistrzowsku wywiązał się z zadania. Ów fantastyczny Anheli, marzycielski, gonący za sławą nierozgłośną, śniący o szczęściu nieokreślonym, wyszedł z pod pęzła p. Pruszkowskiego niezawodnie takim, jakim go chciał widzieć Słowacki. I Elloe, ów duch opiekuńczy Anhellego, i śnieżycą polarna oświetlona silnie zachodnią łuną, i cały wyraz obrazu, jest malowany z taką siłą, z taką prawdą poetyczną, z taką harmonią barw i tonów, że trudno oczy oderwać od tego dzieła. (...) Jest to obraz, który wysoko postawił artystę w dziedzinie sztuki polskiej. Zdaje nam się, że w *Anhelim* Pruszkowski wszedł na właściwą dla swego talentu drogę, z której już nie powinien zbaczać...

Nie zбочzył, zwłaszcza że ten temat stale zyskiwał na popularności. Pruszkowski miał stworzyć jeszcze inne dzieła z anhellicznego cyklu, a jego śladem poszedł też Malczewski i inni artyści. Uznanie i uwielbienie dla Słowackiego w polskim społeczeństwie

rosło, by osiągnąć apogeum na początku następnego wieku, w stulecie urodzin wieszczka. Planowano sprowadzenie jego prochów z Paryża i pochowanie ich na Wawelu, jednak udało się to zrobić dopiero w wolnej Polsce, a Witold Pruszkowski już tych czasów nie dożył.



Tamtej nocy, gdy ujrzała spadającą gwiazdę, Józia na długo straciła poczucie rzeczywistości. Niespodziewanie znalazła się w pracowni, która tak bardzo przyciągała ją w ostatnich latach, z mężczyzną, o którym nie mogła przestać myśleć, od kiedy tylko pojawił się w Mnikowie. Jako młoda dziewczyna całymi godzinami podglądała, jak nakłada farby na płótno i z niczego wyczarowuje najbardziej fantastyczne obrazy! Znała je chyba lepiej niż pani Ernestyna Pruszkowska, która do pracowni męża nie wchodziła nigdy, by mu nie przeszkadzać, a już na pewno lepiej od jego znajomych, przed którymi artysta chował bądź zasłaniał niedokończone dzieła. Józia była potajemną, cichą i prawdopodobnie najwierniejszą wielbicielką jego talentu. Nie wiem, czy kiedykolwiek się o tym dowiedział. Raz tylko przyłapał ją za krzakiem róży, gdy przez okno śledziła jego spotkanie z Krywultem. O dziwo, nie gniewał się wtedy i nawet obiecał, że ją też kiedyś namaluje. Nigdy jednak do tego nie doszło, zawsze coś stawało im na przeszkodzie. Aż do tamtej nocy...

Tę część swojej historii Józia przedstawiła nam w czasie wielkiej wojny tylko w ogólnym zarysie. Dopiero gdy była już stara, a i ja przeżyłam swoje, chętnie i otwarcie opowiadała, co się wtedy zdarzyło. Tak jakby chciała podkreślić, że nie ma nic do ukrycia.

– Nie zapalił światła, ale i tak w Malarni było bardzo jasno. Przez te wszystkie okna po prostu wlewał się blask księżyca. To była najjaśniejsza pełnia, jaką pamiętam.

Usiedli na otomanie, Pruszkowski wyjął butelkę i dwie szklaneczki, a także miękkie okrycie z pozszywanych owczych skór, którym się otulili. Nalał jej kilka łyków mocnej, ziołowej wódki. Od razu zaczęło jej się kręcić w głowie, język też się jej splątał i tak siedzieli przez chwilę w ciszy. A potem on zaczął mówić. O niesprawiedliwości systemu społecznego, w którym żyli, o upodleniu i skrajnej nędzy najniższych warstw, o zgniliznie, egoizmie i zaślepieniu tych, którzy trzymają ster rządów, o konieczności zmian... Zapamiętała jedno – że w tym, co się stało w domu Sobkiewiczów, nie ma jej winy. Używał trudnych słów, z których wielu wówczas nie rozumiała, ale i tak jego słowa działały na nią kojąco.

Odurzona wódką i tym wspaniałym uczuciem, że ktoś wreszcie ją zrozumiał i uwolnił od ciężaru, odchyliła głowę na oparcie i przymknęła oczy. Zapadła cisza. Z błogostanu wyrwał ją dopiero jego głos:

– Poczekaj!

Odrzucił barani kozuch i wybiegł z pracowni. Wrócił po jakimś czasie, niosąc w ręku sznur pereł. Nie od razu go dostrzegła. Dopiero gdy włożył jej w dłoń połyskliwy wisior, gdy poczuła pod palcami gładkość zimnych paciorków, rozbudziła się natychmiast. Co to miało znaczyć?! Po co te perły, dlaczego?!

– Chciałbym cię namalować. Tutaj, teraz. Czy mogę?

Nikt nie zwracał się do niej tak uprzejmie, potaknęła więc, zanim w ogóle zdała sobie sprawę, że ta pora – środek nocy – i ich obecność sam na sam, bez świadków, i ta niesamowita bliskość, jaką z nim odczuwała, mogą być czymś niestosownym. Dopiero gdy się

pochylił i zaczął rozpinać guziczki jej sukni, drgnęła i spróbowała się podnieść.

– Ciiii... – uspokoił ją, przytykając palec do ust. – Nic się nie bój, nic ci przy mnie nie grozi! To tylko akt, rodzaj obrazu, który malarze muszą co jakiś czas wystawić, bo publiczność to uwielbia...

Z przerażenia aż się podniosła, nagle zupełnie trzeźwa.

– Akt?! Ale jak to? Tak całkiem goło? Jezus Maryjo, panie, ale co ludzie powiedzą?!

– Nie będzie widać twojej twarzy, Józiu – roześmiał się cicho, rozbawiony. – Obiecuję, że nikt cię nie pozna. I zapłacę ci za pozowanie, tak jak artyści w Paryżu i w Monachium płacą swoim modelkom.

Przez chwilę się zastanawiała, a on czekał, nie nalegając. Zerknęła raz jeszcze na sznur pereł.

– A te perły po co? Ja sie boje! Ja czuje, że nic dobrego z tego nie bedzie...

– Ciiii... – uspokoił ją. – To perły mojej żony. Nie dam ci ich, choć uważam, że masz takie samo prawo je nosić jak każda kobieta... Potrzebne są jako rekwizyt, jako element obrazu... Zaufaj mi!

Skinęła głową, zbyt oszołomiona sytuacją, by się racjonalnie zastanowić. Wtedy on rozpiął do końca jej suknię i opuścił ją z ramion, zsunął też koszulę, którą miała pod spodem. Jego dłonie były ciepłe, a ich dotyk wywoływał w niej uczucia, których nigdy jeszcze nie doświadczyła. Całkowicie bezwolna, obnażona do pasa, opadła na otomanę i pozwoliła mu robić ze sobą wszystko, co chciał. Były to jej pierwsze erotyczne doświadczenia i czerpała z nich rozkosz, której istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała. Nigdy się tak nie czuła ani przy Antku, ani z paniczem Lulusiem, ani też wtedy, gdy mecenas Sobkiewicz próbował zaciągnąć ją do łóżka.

Pozwoliła się ułożyć w dziwnej pozycji, z głową przy krawędzi leżanki, z włosami zwisającymi do ziemi. Pozwoliła mu wyciągnąć swoje ręce ponad głowę i związać je sznurem pereł. Każde jego dotknięcie – a ruchy miał delikatne, posuwiste, gładzące i obejmował nimi całe jej ciało, również piersi – wywoływało jej drżenie i napięcie graniczące z ekstazą. Zapomniała, że jest dziewczyną ze wsi, zhańbioną i oskarżoną o kradzież, a on zonatym mężczyzną. Zapomniała o pani Ernestynie i o małym Kaziu, którzy byli zapewne w domu, kilkadziesiąt metrów dalej, i spali spokojnie, nie podejrzewając nic złego. Zapomniała, co na temat rozkoszy cielesnych mówi Kościół i jak dokładnie ksiądz przy spowiedzi wypytuje o wszystkie związane z tym grzechy. Zapomniała o swym wstydzie, o obawie, by nie zająć w ciąży, o wszystkich możliwych konsekwencjach.

– Gdyby wtedy zażądał, żebym się mu oddała, zrobiłabym to bez wahania – mówiła ciocia, a na jej zwiędłe policzki wypływał lekki rumieniec. – Więcej, ja się mu wtedy praktycznie oddałam. To, że nie wziął więcej, nie posunął się dalej, wynikało być może z tego, że miał jakieś hamulce i bardzo kochał swą żonę, a może jedynie z tego, że był w tamtym momencie owładnięty tylko wizją tego obrazu. On już miał przed oczami to, co chciał namalować, i nie mógł zmarnować tej chwili. Gdyby wtedy kochał się ze mną, na co ja byłam tak bardzo gotowa, roztrwoniłby tę energię, którą wtedy emanował, siłę twórczą, która wibrowała w każdym jego ruchu, której był pełen aż po koniuszki palców. I mój obraz być może nigdy by nie powstał...

Siadł nieopodal niej na zydlu, ze szkicownikiem w jednej i węglem w drugiej dłoni. Słyszała tylko zgrzyt i szelest, a co jakiś czas trzask odrywanych stron. Nie wiedziała, ile szkiców narysował, nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Gdy ocknęła się rano – naga, zwinęta w kłębek na otomanie, otulona owczą skórą, z głową pulsującą

od wypitego alkoholu i przeżyć minionej nocy – pracownia była pusta. Spod ściany spoglądała na nią morda jakiegoś straszego gada, tak paskudna, aż ją przeszył dreszcz. Był to zapewne *Smok podwarwelski* – obraz, nad którym mistrz pracował właśnie w tym czasie, a miał go ukończyć kilka miesięcy później – ale wtedy Józia tego nie wiedziała. W tamtej chwili dopadły ją tak potężne wyrzuty sumienia, że poczwara wyzierająca z obrazu zdawała się jej uosobieniem grzechu popełnionego minionej nocy.

Zerwała się i zaczęła ubierać, zapinając koszulę i suknię trzęsącymi się rękami. Chciała stąd uciec jak najprędzej, chciała zapomnieć o tej chwili całkowitego oddania się obcemu, w dodatku żonatemu mężczyźnie. Na samo wspomnienie o nim jednak serce jej miękło i topniało jak wosk. Ciągle czuła jego zapach, dotyk ciepłych dłoni na swej skórze i każda myśl o tym napełniała ją rozkoszą. To z kolei powodowało kolejną falę wyrzutów sumienia, jeszcze gorszą od poprzedniej. Wiedziała bowiem, że gdyby znalazł się tutaj i znowu ją o cokolwiek poprosił – nie potrafiłaby mu odmówić.

W drodze do drzwi minęła sztalugi z płótnem przykrytym kawałkiem materiału. Nie mogła się powstrzymać, uchyliła zasłonę i spojrzała. Był to dopiero rozpoczęty obraz... Jej obraz! Nie gad przyczajony w leśnych ostępach, z pazurami i świecącymi żółto wylupiastymi ślepiami, ale mroczna przestrzeń ze świetlistą postacią w centralnym punkcie, utrzymana w zielono-złoto-białym kolorycie. Można już było rozpoznać wyraźne kształty leżącej dziewczyny, nagiej i bardzo pięknej, bardzo zmysłowej, a jednocześnie uduchowionej. Zarys sylwetki oplecionej łańcuchem pereł, z twarzą na szczęście trudną do rozpoznania.

Nagle przestało jej się spieszyć. Spoglądała w zachwycie na to dzieło jednej nocy i czytała w nim te wszystkie uczucia, których

artysta musiał wtedy doświadczać... Wydawały się być bardzo bliskie temu, co i ona czuła.

Czy o takim portrecie marzyła?

– Oczywiście, że nie! – śmiała się, gdy opowiadała mi tę historię. Otwierała szerzej oczy, jakby chciała ogarnąć nimi te swoje piękne wspomnienia z młodości, a jej plecy prostowały się z dumy. – Ale gdy już zobaczyłam ten akt, gdy uświadomiłam sobie, że to cudo, ta modelka tam leżąca to ja z krwi i kości, że on mnie taką widział i taką pozostawił potomnym... niczego nie żałowałam!

Dopiero po długiej chwili oderwała wzrok od malowidła. Na zyci-
lu opodal zauważyła szkicownik, z którego wystawały uczernione karty. Otworzyła skórzaną oprawę, by zerknąć do środka. Tak, tam też była ona. W różnych ujęciach i z różnej perspektywy, ale ciągle tak samo naga, z rozwianymi włosami i perłami w dłoniach. Szkiców było kilka, może nawet więcej niż dziesięć. Po chwili namysłu Józia wzięła ten, który leżał na samym wierzchu – z autografem Witolda Pruszkowskiego, z datą i podpisem: w Mnikowie.

Józia nie tyle wiedziała, ile przeczuwała, że już tu nie wróci. Mimo całego uwielbienia, jakim darzyła artystę, nigdy więcej nie odważy się mu pozować tuż obok chłopskich chałup i ludzi, którzy ją znali od dziecka, w tak bliskim sąsiedztwie jego domu i członków rodziny. Była też pewna, że nigdy już nie odda mu się tak całkowicie i bezwarunkowo, jak to miało miejsce minionej nocy.



SPIS ROZDZIAŁÓW

I	grudzień 1915	5
II	listopad 1916.	98
III	grudzień 1916	239
	Bibliografia	365